

Zszedł po spiralnych schodach. Na końcu znalazł drzwi. Masywne. Ciężkie. Czarne. Z nazwą wypisaną popękaną farbą tworzącą brzydkie żółte litery. „Rubikon”.

Nazwa wydała mu się głupia, ale większość knajp ma głupie nazwy. Ta była tak głupia, że aż mu się spodobała. Poza tym nigdy wcześniej tu nie był, a przede wszystkim to było najbliższe miejsce, gdzie mógł się napić. Wszedł do środka. Setki albo i tysiące razy przekraczał progi różnych knajp i nigdy nie miał najmniejszego poczucia czegoś nieodwracalnego. Tym razem także nie. Najmniejszego.

Wnętrze było ciemne i ponure. Na pierwszy rzut oka przypominało przerośniętą piwnicę, do której ktoś wstawił kilka stolików. Ściany były nagie i nieotynkowane. W powietrzu unosiła się grobowa cisza. Doktor przez chwilę zastanawiał się czy to na pewno lokal rozrywkowy, czy raczej krypta. W środku było zupełnie pusto.

Barman wycierał szklanki. Wielki facet z wielkim brzuchem i grubymi ramionami. Na odgłos kroków podniósł głowę. Miał twarz barwy wosku i szeroko rozstawione kości policzkowe, pomiędzy nimi sterczał groteskowo mały i wąski nos. Długie blond włosy czesał do tyłu i związywał w kucyk. Doktor w ciągu czterdziestu dwóch lat swojego życia doszedł do kilku absolutnie niepodważalnych konkluzji. Jedną z nich była taka, że nie można oczekiwać uczuć wyższych od barmanów, taksówkarzy i kurew. Przeciwny przedstawiciel każdej z tych profesji gorliwie wysłucha twojej historii, ale jeśli pragniesz, na przykład, odrobiny współczucia, cóż... To deficytowy towar.

Barman wyglądał więc na takiego, którego doktor wywaliłby z roboty bez dwóch sekund wahania, gdyby był właścicielem „Rubikonu”. Na szczęście dla barmana jakiś czas temu uznał, że zamiast być właścicielem choćby jednej tylko knajpy, woli być klientem wszystkich.

– Dzień dobry – zagaił. W odpowiedzi usłyszał niewyraźne mruknięcie. To mogło być „witam” albo „wypad”. Doktor uznał, że to pierwsze i nie poprosił barmana, żeby ten powtórzył swoje słowa. Rozejrzał się raz jeszcze i stwierdził, że wcześniejsza obserwacja okazała się błędna. Ktoś tu jednak był. Pojedyncza sylwetka w głębi pochylona, ni to w modlitwie, ni w akcie rezygnacji, nad martwą naturą samotnej szklanki i szarożółtego zarysu blatu.

– Widzę, że chwilowy zastój w interesie. Ale zważywszy na pogodę wkrótce będzie tu pełno. – Wbrew swoim słowom doktor bardzo wątpił w to, że ktokolwiek jeszcze tu zajrzy. Chyba, że taki sam desperat jak on albo ten tam, w głębi sali.

Barman najwidoczniej postanowił ignorować próby nawiązania przyjacielskiej pogawędki.

– Co podać? – Bezbrzeżna obojętność w jego głosie zbiła doktora z tropu. Zaraz potem zirytował się. Z wiekiem niektórzy ludzie stają się impulsywni. Zwłaszcza ci, którzy piją za dużo. *A co by mi pan polecił, panie Lokal Świeci Pustkami Ale I Tak Mam W Dupie Każdego Kto Się Tu Przypalał?*

– Hm...

Barman chyba dostrzegł zdenerwowanie klienta, ponieważ przechylił się nieznacznie przez kontuar, a fałszywy uśmieszek rozlał się mętną plamą na jego szerokiej, woskowej gębie.

– Niech się pan nie spieszy – poradził niebiańsko spokojnym głosem. Ów niebiański spokój niemal doprowadził przybyłego do wybuchu furii, kiedy nagle zauważył on, że barman ma oczy różnego koloru. Jedno bladobłękitne, jakby ktoś wlał odrobinę mleka do szklanki atramentu, drugie bladobrazowe, jak słabo zaparzona herbata. Ni stąd ni zowąd doktor zaczął zastanawiać się jak nazywa się skaza genetyczna objawiająca się różnym kolorem oczu u jednej osoby. *Heterogamia? Heterogenia?*

– Niech się pan nie spieszy – powtórzył barman. Doktor znów się zdenerwował. *Kto to w ogóle jest, ten barman? Jakiś cholerny android? „Niech się pan nie spieszy”. Jasne! Niech się pan, kurwa, nie spieszy! Zupełnie jak automat w telefonie. „Witamy w barze ‘Rubikon’”. „Uprzedzamy, że rozmowa jest nagrywana”. „Koszt połączenia zależny od operatora sieci”. „Jeśli masz kaca i chcesz się napić, wybierz jeden”. „Jeśli masz kaca, właśnie zobaczyłeś swoją femme fatale z jakimś gachem i musisz napić się natychmiast, wybierz dwa”!*

Zerknął ukradkiem na swoje dłonie. Drżały jak nowo narodzone szczenięta.

– Tak? – zachęcił barman.

Heterochromia! Słowo, którego szukał zabrzmiało w umyśle doktora jak wystrzał z pistoletu. Otarł pot z czoła.

– Dwa grolsche i dwie pięćdziesiątki smirnoffa, proszę.

– Nie mamy grolscha.

– Więc dwa heinekeny do tego smirnoffa.

– Razem trzydzieści jeden pięćdziesiąt – zażądał barman.

– Nie macie tu kelnerek?

– Niestety. Płatne od razu przy barze. Takie zasady – powiedział zimno barman. Doktor chrząknął z dezaprobatą, wyciągnął z portfela zmięty niemalże w kulkę banknot, przyjrzał mu się z namaszczeniem i zaczął go niezdarnie rozprostowywać. Barman przez kilkanaście sekund przyglądał się temu bez słowa, po czym zabrał się za nalewanie alkoholu. Ustawił na tacy kieliszki wódki, obok szklanki z piwem i zgarnął banknot, który doktor zdążył w międzyczasie doprowadzić do jako tako płaskiej formy. Drżące dłonie sięgnęły po tacę, przy akompaniamencie ostrzegawczo dzwoniących kieliszków uniosły ją kilka centymetrów ponad kontuar, jeszcze kilka...

– Proszę usiąść. Przyniosę panu – zlitował się barman.

Doktor z ogromną ulgą postawił tacę z powrotem.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. – Odwrócił się i skierował się w głąb sali. Cały jego gniew na barmana minął, a na jego miejsce pojawiła się wdzięczność. *Ten barman to w gruncie rzeczy zacny chłop.* Zaraz potem zdał sobie jednak sprawę, że najprawdopodobniej „zacny chłop” nie miał po prostu ochoty zamiatać rozbitego szkła, od razu było bowiem widać, że klient nie doniesie tacy do stolika. Równie dobrze mógłby starać się przeskoczyć kanał La Manche trzymając w rękach torbę pełną cegieł. A więc to nie była ludzka życzliwość tylko zwykłe wyrachowanie. Nie można oczekiwać wyższych uczuć od barmanów, taksówkarzy i kurew. Popatrzył z wyrzutem na barmana, który akurat wycierał kolejną szklankę. Nagle

podniósł głowę i posłał doktorowi spojrzenie spode łba.

Ten grubas z heterochromią uważa mnie za żalostną, zapijaczoną kupę gówna.

Doktor skrzywił się, jakby właśnie dźwignął coś bardzo ciężkiego. Owszem. To była bardzo ciężka myśl.

Bo jestem żalostną, zapijaczoną kupą gówna.

Z westchnieniem opadł na krzesło.

– Kiepski dzień? – zapytał go ktoś. Podniósł głowę i stwierdził, że siedzi przy jednym stoliku z samotnym klientem, którego zauważył wcześniej. Stęknął twierdząco.

Kiepskie życie.

– Kiepskie życie – powiedział nieznajomy.

Doktor spojrzał na niego. Niewiele jednak zobaczył. Postać po drugiej stronie pozbawiona była szczegółów, niewyraźna jak rozmyty cień unoszący się po drugiej stronie stolika.

– Chyba mi się zdawało – powiedział doktor.

– Co takiego?

– Przez chwilę miałem wrażenie, że czyta mi pan w myślach.

– Uhm. – W głosie nieznajomego nie było słyhać zdziwienia. – Barman jest nieuprzejmy. Nie uważa pan?

– Owszem – zgodził się doktor. – Zachowuje się jakby robił łaskę klientom.

– Szczerze mówiąc to złamany chuj – oznajmił cień. – Gdybym został właścicielem tej knajpy, od razu bym go wylał. Ale nigdy nie chciałem być właścicielem żadnej knajpy. Rola klienta wszystkich knajp w zupełności mi wystarczy.

Doktor znów starał się przyjrzeć dokładniej, ale twarz nieznajomego nadal rozmywała się w słabym blasku i półcieniach lokalu. To było dziwne. Zawsze wydawało mu się, że człowiek na kacu widzi wszystko wyraźniej, ostrzej. Zbyt wyraźnie i zbyt ostro. O wiele za ostro.

– Mnie także to całkowicie odpowiada. Od dłuższego czasu właściwie...

– Właściwie co? – zaciekawił się nieznajomy.

– To jedyna rola, jaką odgrywam w moim życiu.

– Aha.

Milczeli chwilę.

– Strasznie tu cicho – odezwał się w końcu doktor.

- Jak w grobie – zgodził się nieznajomy. – Temu tam – wskazał w stronę baru – nie chce się nawet włączyć muzyki. Założę się, że nie będzie się spieszył z przyniesieniem tego, co pan zamówił.
- Nie lubi mnie.
- Wiem – powiedział nieznajomy. – Mnie także nie lubi, jeśli to pana pocieszy.
- Pocieszyło. Tylko trochę, ale zawsze to coś. Dobrze wiedzieć, że nie jest się jedynym klientem, który ma zastrzeżenia do barmana. Można, w razie czego, utworzyć wspólny front antybarmański, na przykład.
- Może w międzyczasie opowie mi pan o tym kiepskim dniu – zaproponował nieznajomy.
- Dlaczego to pana interesuje?
- Każdy temat jest dobry, żeby zabić czas oczekiwania na piwo. Chyba, że woli pan rozmawiać o polityce?
- Nie. Błagam. Tylko nie to!
- Właśnie. Więc może o sporcie?
- Na twarzy doktora pojawił się grymas. Sport we wszelkich odmianach był mu równie bliski co inżynieria genetyczna.
- Rozumiem, że także nie.
- A nie moglibyśmy po prostu pomilczeć?
- Moglibyśmy. Ale wtedy będzie pan rozmawiał ze swoimi myślami.
- Doktor nie chciał rozmawiać ze swoimi myślami. Wolał już rozmowy z innymi ludźmi, nawet o polityce czy sporcie.
- To całkiem zrozumiałe, że nie chce pan o sobie opowiadać nieznajomym – kontynuował tymczasem nieznajomy. – Pozwoli pan wobec tego, że ja opowiem jak minął panu dzień. Co pan na to?
- A skąd pan to wie? – zdumiał się doktor. – I kto pan w ogóle jest? Nawet nie wiem jak się pan nazywa.
- Swoje nazwisko wyjawię we właściwym czasie.
- I tak je pewnie zapomnę.
- Zwłaszcza, że zapominanie jest od pewnego czasu pańskim głównym zajęciem, prawda?
- Przez moment doktor nie wiedział co odpowiedzieć. To był celny strzał, musiał to przyznać.
- Każdy z nas ma wiele do zapomnienia. Jestem pewien, że i pan także.
- Do tego również dojdziemy. Wydaje się panu, że pana nie znam, a pan nie zna mnie, ale tak absolutnie nie jest. Mamy ze sobą bardzo dużo wspólnego. Rzekłbym nawet, że wszystko.

– Czyżby? Nawet nie wiem jak pan wygląda, bo to światło...

– Ach tak, światło. Myślę, że wystarczy odrobina alkoholu, żeby rozjaśnić pański umysł. Zwłaszcza, że barman zlitował się wreszcie i zmierza ku nam z tacą.

Rzeczywiście, zjawił się w końcu. Postawił na stoliku szklanki i kieliszki, po czym odszedł bez słowa. Doktor wychylił duszkiem jedną wódkę, potem drugą. Ogarnęło go ciepło, rozparł się na krześle i wsłuchiwał w błogi szum krwi. Teraz lepiej, stwierdził z ulgą.

– Zatem jak minął mi dzień, panie Nieznajomy, Który Wyjawi Swoje Nazwisko We Właściwym Czasie?

– Obudził się pan z tradycyjnym kacem-gigantem i stwierdził, że w lodówce nie zostało nawet kropli alkoholu. Szczerze mówiąc, w pańskiej lodówce w ogóle nic nie ma. Zgadza się?

Doktor wykrzywił wargi. Skoro od razu widać, że nie wylewa za kołnierz, to można się domyślić, że nie odżywia się jak krytyk kulinarny. Nic w tym odkrywczego. Coś takiego każdy może zgadnąć.

– Znalazł pan jakieś niedopite piwo, po czym powspominał trochę stare dobre czasy – ciągnął nieznajomy. – Wkrótce jednak wspomnienia o starych dobrych czasach zastąpiły ponure rozważania o czasach obecnych, a te do dobrych bynajmniej nie należą. Szybko doszedł pan do wniosku, że nie da pan rady stawić czoła kolejnemu dniu bez odpowiedniej dawki procentów i postanowił pan wybrać się na zakupy. Oszczędności pańskiego życia stopniały już niemal zupełnie, ale zostało jeszcze trochę, powiedzmy na jakieś dwa, trzy miesiące, pod warunkiem, że ograniczy pan spożycie albo przerzuci się na tańszy alkohol. Poza tym od pewnego czasu nosi się pan z zamiarem sprzedaży samochodu, doktorze Vogel.

– Skąd pan to wie?! – wykrzyknął doktor. – I skąd pan zna moje nazwisko?

– Cierpliwości. Zaraz wszystko wyjaśnię – uspokoił go nieznajomy. – Nie dostanie pan za niego zbyt wiele, ale na jakiś czas wystarczy. Wróćmy do historii pańskiego dzisiejszego dnia. Początkowo zamierzał pan kupić kilka butelek Jim Beama, może jeszcze ośmiopak Budweisera i jakieś byle co do jedzenia, po czym wrócić do domu. Po drodze znów dopadły pana wspomnienia, ale nie dotyczyły już dni pańskiej chwały, lecz pańskiego upadku. Doktor nauk humanistycznych z widokami na profesurę spotyka studentkę, porzuca dla niej żonę i dziecko, a potem sam zostaje porzucony. Klasyczna historia, przyzna pan.

Doktor Vogel nie przyznał. Zaciśnął zęby i czekał na dalsze słowa.

– Żona rozwiodła się z panem. To dumna kobieta, prawda? Z takich, które nie wybaczą. Nie pozwoliła panu do siebie wrócić. Zaczął pan pić, w efekcie zwolniono pana z pracy. Stracił pan wszystko, upadł i nie ma pan siły, by się podnieść. Więc pije pan, żeby zapomnieć o swoim upadku. I tak mija panu dzień za dniem, ale dzisiaj jest wyjątkowy dzień. Inny od wszystkich.

– Czyżby? – wykrztusił doktor.

– Oczywiście, że tak. Właśnie dziś, po drodze do pana ulubionego sklepu z alkoholem, zobaczył ją pan znów. Siedziała w samochodzie, roześmiana, z kimś młodszym, zapewne bardziej sprawnym seksualnie od pana, kto trzymał poufale dłoń na jej udzie. Tego było już zbyt wiele. Zawrzał w panu gniew, straszliwy gniew, furia żadna krwi z równą siłą, z jaką kiedyś pan pożądał jej ciała. Toczący pana robak wypełzł na zewnątrz. Niczego pan nie pragnie bardziej niż zabić tę dziewczynę. Jak jej tam? Dolores Lilly?

Imię i nazwisko jak z powieści Nabokova. Ta myśl żyje w panu od dawna, pielęgnuje ją pan. Cała resztką woli, jaka w panu została, skupia się wokół tej jednej myśli. Mam rację, doktorze? – Nieznajomy zaśmiał się, jakby z czegoś bardzo zadowolony. – Napijmy się – zaproponował i wznosił szklankę. Doktor, po dłuższej chwili wahania, odwzajemnił toast.

– Wie pan o mnie tak wiele, jakby... był pan mną.

– Jestem tobą, doktorze Dariuszu Vogel – powiedział nieznajomy. – Jestem odbiciem w twoim lustrze, tym przeklętym robakiem, którego usiłujesz zalać, doppelgängerem zrodzonym z rzygowin, kaca i wyrzutów sumienia, jestem tym, który cię zabija każdego wieczoru i wskrzesza dnia następnego. JESTEM TOBĄ!

Doktor złapał za szklankę i zachłannie ją opróżnił.

– I co teraz zrobimy? – zapytał.

– A czy jest coś, czego się jeszcze boisz?

Doktor zastanowił się.

– Nie chcę umrzeć – powiedział i przełknął ślinę.

Nieznajomy wzruszył lekceważąco ramionami.

– Śmierć? Chyba żartujesz. Śmierć jest duchem strzegącym pustyni. Prędzej czy później i tak wszystko się przecież kończy. Pewnego dnia, w lutym albo czerwcu jakiegoś Anno Domini, ktoś lub coś, tętniak aorty, upadek z balkonu, morderca w zaułku, krwiożerczy Kthulu albo inny mściwy demon bez ostrzeżenia wpycha w nas tę Trwogę, ostatni impuls, który przepala nam mózgi, serca i wnętrzności. A potem światło gaśnie, ciemność spowija nas jak nieprzenikniony kokon i stajemy się jej nieodrodną częścią. I nie wiemy już nic o tym, że kiedyś byliśmy jednym z miliardów robaczków drążących korytarze w wielkim, migotliwym gównie życia. I nie wiemy już, że wiatr nadal nosi tumany złudzeń po pustyni wypełnionej piaskiem chwil. Możesz zostać tutaj i gnić w rynsztoku wspomnień i akademickich mądrości czekając aż przyjdzie koniec. On przyjdzie i tak, wiesz o tym. Możesz zostać tutaj i marzyć o chwili, w której wymierzysz jej karę za śmiertelny grzech jaki popełniła przeciwko tobie. A możesz także wstać, wyjść stąd i sięgnąć po tę jedyną rzecz, której jeszcze pragniesz. Myślisz, że za sto lat dla kogokolwiek będzie miało znaczenie, że jakiś Dariusz Vogel zakończył życie jakiejś Dolores Lilly? Liczy się to, co ma znaczenie dla ciebie. Dawno już zrozumiałeś czego tak naprawdę wszyscy szukamy na tym padole łez. Nie chodzi wcale o wybaczenie, zapomnienie, pieniądze, karierę, sławę, bycie zwykłym dupkiem, świętym z obrazka, czy dorobienie się trójki dzieciaków i kredytu hipotecznego w Deutsche Bank. Chodzi o...

– Satysfakcję – powiedział doktor Vogel. To słowo smakowało lepiej, niż wszystkie alkohole świata.

– Więc co tu jeszcze robisz?

Doktor wlał w siebie kilka łyków piwa, otarł usta, wstał i ruszył w stronę wyjścia. Kiedy mijał bar stojący za nim człowiek popatrzył na niego, ale doktor Vogel tego nie zauważył, otworzył ciężkie drzwi, ruszył po schodach w górę i po chwili wybiegł w miasto, które ryczało odgłosem silników, płonęło światłami reklam i tonęło w strugach deszczu. A więc istniało jednak dla niego zrozumienie. Miasto rozumiało go.

Ryczało z gniewu. Płonęło z nienawiści. Płakało deszczem łez. Zabić. To była jedyna odpowiedź.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ander, dodano 28.08.2019 11:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.